

WRONA SKONA w gazecie, czyli cios w gotowość obronną

Wojciech Wabik

W weekendowym numerze 31 „Dziennika Bałtyckiego” (12–14 lutego 1982 roku) felietonista muzyczny Stanisław Danielewicz opublikował artykuł *Wracamy do płyt, o których się mówi*. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że pierwsze litery kolejnych akapitów publikacji układały się w wymowny zwrot „WRONA SKONA”.

Skrupulatnie zakonspirowana w gąszczu liter WRONA to bynajmniej nie obiekt westchnień ornitologa amatora, lecz akronim utworzony od nazwy gremium – Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON). Powstała ona w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku i pełniła naczelną funkcję administracyjną w Polsce w czasie stanu wojennego (od 13 grudnia 1981 roku do 22 lipca 1983 roku). Na jej czele stał gen. Wojciech Jaruzelski.

Spacer, opornik, graffiti

W trakcie 585 feralnych dni Polacy w różny sposób wyrażali swój sprzeciw wobec tego pozakonstytucyjnego

organu. Protesty przybierały mniej lub bardziej wyrafinowane formy: organizowano wielotysięczne manifestacje, w czasie Dziennika Telewizyjnego włączano telewizory i wychodzono na spacer czy noszono w klapach oporniki symbolizujące opór społeczny. Niezręczym widokiem były wymalowane na murach hasła: „Orla WRONa nie pokona”, „Precz z Juntą”, „Junta juje”, „WRON won za Don”, „Precz z PZPR” czy właśnie „WRONA SKONA”.

Forma sprzeciwu zastosowana przez Danielewicza bez wątpienia należy do najbardziej finezyjnych i unikatowych w skali kraju. Tym bardziej że „Dziennik Bałtycki” z artykułem zamieszczonym w stałej rubryce „Echa muzyki

Fot. AIPN

młodzieżowej” trafił do kiosków zaledwie kilka tygodni po brutalnych pacyfikacjach gdańskich zakładów pracy, a także protestach ulicznych, które przełamy się przez Trójmiasto w grudniu 1981 roku (skutkiem były dziesiątki poszkodowanych, rannych, a także jedna ofiara śmiertelna).

Pierwsze informacje o odszukanym przez czytelników zwrocie „WRONA SKONA” pojawiły się w poniedziałek 15 lutego 1982 roku. Wiadomość tę przekazał kioskarsz Ryszard Makowiecki



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Fot. AIPN

„Fałszywe wiadomości poniżające organ”

Prokuratorzy PRL nie podzielali poczucia humoru dziennikarza. 26 lutego 1982 roku Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni przygotowała postanowienie o wszczęciu śledztwa w trybie doraźnym. W dokumencie czytamy: „Cywil Stanisław Danielewicz podejrzany jest o to, że w wydaniu »Dziennika Bałtyckiego« z dnia 12 lutego 1982 r. w celu osłabienia gotowości obronnej PRL rozpowszechnił na Wybrzeżu Gdańskim fałszywe wiadomości, które mogły tę gotowość osłabić, a ich treść poniżała naczelną organ PRL – Wojskową

Radę Ocalenia Narodowego – oraz mogła wywołać niepokój publiczny lub rozruch w ten sposób, że w nr 31 »Dziennika Bałtyckiego« umieścił hasło WRONA SKONA, tj. o popełnienie przestępstw z art. 48 ust. 1 i 2 w zw. z art. 48 ust. 4 dekretu z dnia 12.12.1981 r. o stanie wojennym (Dz. U. Nr 29, poz. 154) w zw. z art. 270 § 1 kk”. Śledztwo prowadzone w trybie doraźnym skutkowało zatrzymaniem podejrzanego w areszcie. Danielewicz w marcu 1982 roku próbował odwołać się od prowadzenia dochodzenia w tym trybie, przekonując, że ma na utrzymaniu rodzinę, a pisanie jest jego jedynym źródłem dochodu,

redaktorowi Zbigniewowi Niemcewiczowi, następnie lotem błyskawicy obiegła ona całe miasto. W redakcji „Dziennika Bałtyckiego” przez cały dzień odbierano telefony dotyczące artykułu, a gazeta zniknęła z półek niczym świeże bułeczki. Sam Danielewicz po latach wspomina, że artykuł miał być żartem, którym chciał podnieść ludzi na duchu.

Wracamy do płyt o których się mówi

► Czy WRONA mogła się tu pojawić przypadkowo? Próba odpowiedzi na to pytanie stała się przedmiotem aż trzech ekspertyz językoznawczych

W ubiegłym tygodniu Zbigniew Jujka zamieścił w swym „Dzienniczku” na łamach „Rejsów” rysunek, będący satyrycznym komentarzem telewizyjnej relacji: „Produkcja idzie dobrze — brak nam tylko surowców i energii”. Sytuacja w rozrywce — szczególnie muzycznej — wygląda u nas akurat odwrotnie: nie brak surowców (pomysłów, scenariuszy, utworów) i energii (wykonawców, autorów, kompozytorów i organizatorów), niemniej produkcja nie idzie dobrze. Milczą jeszcze kolumny głosnikowe sal koncertowych czy dyskotek i pewnie przyszedłoby mi się oburzać z braku tematów, gdyby nie uroczyste przyrzeczenie, dane czytelnikom niedawnej rubryki przed typodniami: napisania o tych płytach, które liczą się na światowym lub przynajmniej europejskim rynku muzyki pop, które wnoszą do niej istotne wartości.

Rozum mówi, że taki review należałoby zacząć od sensacyjnej — jak zwykle — płyty Electric Light Orchestra „Time”, ale serce każe inaczej. Zostawmy więc Anglików, sprytnie kontynuujących tradycje Beatlesów, na inną okazję, bo czeka dama: Amanda Lear ze swoim ostatnim longplayem „Incognito”. Nigdy o niej nie pisałem, bo miejsca mało, a tematów sporo, więc szkoda czasu na zawracanie sobie (i czytelnikom) głowy nawet tak uroczymi wizualnie zjawiskami europejskiej odmiany disco music, jak Amanda Lear — skoro do tychczas epatowała publiczności głównie nie spotykanym w tej muzyce kontrastem.

Oto jednak Amanda Lear REDIVA: „Incognito” jest longplayem zaledwie pozornie „rozrywkowym”, bo choć posługuje się sprawnymi koncepcjami muzycznymi, niemniej wykracza poza to, do czego przyzwyczaili nas europejska muzyka disco ostatnich lat. Jeśli przyjąć, że ostatni longplay Amandy Lear jest początkiem nowej, oryginalnej drogi, to obrazą byłoby umieszczanie go w kategoriach disco music.

Niemniej, pozostaję z „dawnej” Amandy Lear i na tej płycie pewne charakterystyczne cechy: przede wszystkim jej oryginalny, „niepokojący” głos. Pani, o której tu piszę, udało się po raz pierwszy utrafić swym brzmieniem głosu w odpowiedni charakter repertuaru. Nie jest to, rzecz jasna, zasługą samej wokalistki, ale producenta tej płyty, jak też autorów poszczególnych utworów. Wcale nie podejmuję się wykazywać jakiegokolwiek zbieżności stylistycznej (w sensie muzycznym) tych utworów; wręcz przeciwnie, wydają się one reprezentować zaskakująco różne odmiany muzyki pop — od europejskiej muzyki disco przez „klasyczny” rock (pozbawiony jednak ostrości brzmieniowej), przez elektroniczne fantazje brzmieniowe charakterystyczne dla zachodniemiejskich muzyków i tamtejszych producentów nagrań, aż do kabaretu, w wersji takiej, jaką znamy choćby z kreacji Lizzy Minelli w filmie „Kabaret”.

Amanda Lear sięgnęła do różnych gatunków pop music, a jednak udało się jej stworzyć przekonujący obraz, całkiem jednoznaczny w swojej ogólnej wymowie. O tej estetycznej jedności decydują elementy pozamuzyczne, zaś każdorazowo wszelkie tzw. składniki dzieła muzycznego (np. melodyka, rytmika, instrumentacja) są jedynie uzasadnieniem tematów, rzucanych słuchaczowi do przemyślenia.

Słowo występuje z takim twierdzeniem, wypadałoby je uzasadnić, pamiętając o czysto dyktoskowej przeszłości piosenkarki. Oczywiście, jestem w stanie wyobrazić sobie utwory z płyty „Incognito” wykonywane w dyskotekowej scenerii czterdziestominutowego show telewizyjnego, wśród fajerwerków i błysków, z wyburzającymi się z kolorowych mgieł niesamowitymi postaciami, utraconymi w zbiorowej wyobraźni odbiorców pop-kultury. Ale nawet ten kuszący, odciągający od myślenia sztafaż nie byłby dobrą kurtyną dla pesymistycznego obrazu dekadencji,

zniewalającej nieuchronnością w tym wieku nie optymistycznym zakątku XX wieku. „Incognito” nie zmierza ku analizie zjawisk i postaw, tym bardziej nie stawia diagnozy. Raczej, posługując się krótkimi obrazkami, skłania do myślenia, wskazując tezy, zmuszając do wniosków z góry założonych; jest więc typowa „manipulacja”.

Co to, ile prawdy zawierają kilkunastominutowe obrazki słowno-muzyczne, malowane przez Amandę Lear, na ile są oddziaływaniem różnych stron świata, a na ile iluzją?

Oto one. „Hollywood Is Just a Dream When You're Seventeen”; satyryczny, ale i nie pozbawiony pewnej melancholii („Ja mam to już za sobą”) opis marzeń siedemnastoletnich dziewczyn, utożsamiających siebie w roli przyszłych gwiazd Hollywoodu, po każdym kopciuszku przyjeżdża książę na białym koniu. Zaprzeczeniem tego niezłamanego jeszcze optymizmu jest „Love Amnesia”; podobnie pesymistyczne, choć w innym wymiarze są utwory „Red Tape” i „New York”. Oba są protestem przeciwko kurczącej się sferze prywatności w życiu, przeciwko kontrolującej wszystko i wszystkich biurokracji.

W utwory zastępują też inne utwory: „Berlin Lady”, będący jakby oddziaływaniem (również muzycznym) przeboju Mery Hopkin sprzed lat „Those Were the Days”; jest to jednak odzicie w krzywym zwierciadle. „Nymphomania” jest z kolei krzywym, bo jednostronnym obrazem miłości — wydobytwa jednak na wierzach to, co zazwyczaj psychika ludzka skrywa najgłębiej przed sobą.

Amanda Lear zapewne nie jest prorokiem; czas proroków rocka już minął, a przypięczona go ostatecznie śmierć Lennona. Jest jednak świadkiem ery muzyki pop bez złudzeń, rozdarciem między sterowanym odgórnie protestem punk a techniczną sprawnością muzyki disco.

S. Danielewicz

lecz Naczelną Prokuraturę Wojskową w Warszawie była niewzruszona i podtrzymała areszt.

Felieton do ekspertyzy

Na polecenie prokuratora prowadzącego śledztwo przeszukano mieszkanie dziennikarza oraz poddano ekspertyzie maszynopis artykułu dostarczony do sekretariatu „Dziennika Bałtyckiego”. Badanie miało wykazać, czy tekst został napisany na maszynie, którą zarekwirowano podczas rewizji dokonanej przez funkcjonariuszy Wydziału Śledczego w mieszkaniu Danielewicz.

Następnie Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni skierowała za kwestionowany artykuł do Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie, aby ustalić, czy pierwsze litery poszczególnych akapitów mogły ułożyć się przypadkowo w zwrot „WRONA SKONA”. W obszernej odpowiedzi dr Maciej Chrzanowski przekonywał: nie może być mowy o przypadku. Analizę okraślił ideologicznym podsumowaniem: „A więc całkowicie wykluczając tu przypadek, musimy ów fakt uznać nie tylko za dowód osobistych poglądów, ale (co ważniejsze) za dokument braku jakiejkolwiek odpowiedzialności za prezentowane publicznie słowo. Funkcją dziennikarza jest kształtowanie opinii publicznej zgodnie z kierunkiem wytyczonym przez wydawcę i kierownictwo danej redakcji (w polskim przypadku, zgodnie z leninowską doktryną prasową i obowiązującym prawem, tym decydującym jest bezpośrednio PZPR). [...] Dlatego też mamy tu do czynienia z wykroczeniem, którym winny zająć się odpowiednie władze, wykroczeniem o dużej społecznej szkodliwości, a nie tylko z osobistymi, prywatnymi poglądami autora deklarującego się jako przeciwnik ideowych, politycznych, ustrojowych pryncypiów PRL”. Miażdżąca analiza artykułu Danielewicz osadzonego w areszcie śledczym w Gdańsku spowodowała przedłużenie przymusowego pobytu w odosobnieniu.

Jesienią 1982 roku osiem artykułów dziennikarza trafiło do ekspertyzy, którą przeprowadził doc. Józef Bachórz z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. W swojej ośmiostronicowej analizie Bachórz stwierdził, że nie można wykluczyć przypadkowości ułożenia poszczególnych liter akapitów w zwrot „WRONA SKONA”.

„Ze stylistyki i składni tekstu *Wracamy do płyt, o których się mówi* nie można więc wnosić, że słowa, jakie się układają z pierwszych liter akapitów, wynikły na skutek sztuczności toku składniowego lub z zastosowania środków stylistycznych, jakich autor nie używał w swoich wcześniejszych felietonach” – uzasadniał swoje wywody Bachórz.

Linia obrony przyjętą przez felietonistę była próba wykazania, że zwrot „WRONA SKONA” podług zasad statystycznych może pojawić się zupełnie przypadkowo w określonej liczbie artykułów. Z wyliczeń matematycznych wykonanych przez oskarżonego i przesłanych do Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni wynika, że raz na trzystaście bilionów razy pojawi się takie zestawienie słów. W ostatniej odsłonie batalii między organami sądowymi PRL a felietonistą z Gdańska głos zabrał językoznawca pracujący w Zakładzie Języka Polskiego Uniwersytetu Gdańskiego, dr Bronisław Rocławski. W marcu 1983 roku wydał on ekspertyzę wykonaną dla Prokuratury Marynarki Wojennej w Gdyni, w której odniósł się do wywodów matematycznych Danielewicz. Według wyliczeń językoznawcy, przytoczona przez oskarżonego liczba trzystaście bilionów była zawyżona i powinna wynosić ok. 3 bln. W swojej analizie Rocławski zaznaczył: „S. Danielewicz słusznie stwierdza w zakończeniu wywodu, że przedstawiony przez niego materiał jest wystarczającym dowodem na możliwość przypadkowego pojawienia się nienormalnie odczytywanego zestawienia WRONA SKONA. Nasz wywód, chociaż

zmniejszył wartość tego prawdopodobieństwa, to jednak w niczym nie zanegował jego istnienia”.

Jednak tylko wyszydzenie

10 marca 1983 roku Prokuratura Marynarki Wojennej w Gdyni wydała postanowienie o umorzeniu śledztwa przeciwko Stanisławowi Danielewiczowi. Na wstępie stwierdziła, że konieczna jest zmiana kwalifikacji czynu popełnionego przez Danielewicz: „można zasadnie najwyżej zarzucić wyszydzenie organu państwowego, a więc popełnienie przestępstwa z art. 273 § 1, a nie przestępstwa z art. 48 ust. 1 i 2 w zw. z art. 48 ust. 4 dekretu o stanie wojennym”.

Po zmianie kwalifikacji prawnej prokuratura zwróciła uwagę na to, że analizy ekspertów nie są jednoznaczne – albo potwierdzają linię obrony podejrzanego, jakoby chodziło o przypadek (biegli z UG w Gdańsku), albo sugerują, iż o przypadku mowy być nie może (Ośrodek Badań Prasoznawczych w Krakowie). Konkluzją postanowienia o umorzeniu śledztwa był brak dowodów popełnienia przestępstwa z art. 273 § 1.

Batalia stoczona przez dziennikarza z prokuraturą kosztowała go pobyt w areszcie śledczym w Gdańsku przez ponad dziewięć miesięcy i uczestnictwo w trzech rozprawach przed Sądem Marynarki Wojennej w Gdyni. Nie był to zresztą jedyny w stanie wojennym proces za wykonanie napisów antyrządowych. Wiele z nich kończyło się wyrokami skazującymi, ale to już temat na osobny artykuł. 📌

Wojciech Wabik – archiwista w Oddziałowym Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Gdańsku, współautor (z Karolem Lisieckim i Tomaszem Pankiem) książki *Gdańsk w stanie wojennym 1981–1983*

